

ADLER JANKIEL AJZENSZŁOS ALTER
ALPERIN ARON BAJGELMAN DAWID
BARCZYŃSKI HENRYK (HENOCH)
BARUCHIN ELI BERG JEHUDIT
BIMKO FISZEL BORNSTAJN
MENACHEM BRAUNER ICCHAK
BRODESO MOJŻESZ BRUDNY
SZMUL BRZUSTOWSKI CHAIM JANKIEL
CZĘSTOCHOWSKA SZOZANA
DANIELEWICZ HERSZ DOBRANICKI
ADOLF DŻIGAN SZYMON FRANKENTAL
MORDECHAJ FRIEDMAN FILIP FUKS
CHAIM LEJB GELBART MENDEL
GOLDHAR PINKUS HAMBURSKI
EMANUEL HOFMAN ALTER JANASOWICZ
ICCHAK KACENELSON ICCHAK KACZKA
JANKIEL KAHAN LAZAR KARP PEREC
KARP RUBEN KOHEN CWI KON OSZER
KUPERSZMIDT LEJB LICHTENSTEIN IZRAEL
LIPSTEIN RAHEL LUSTERNIK MALKIEL
MASTBAUM JOEL MINC PINKUS
NAJMAN JECHESKIEL MOJSZE
NOMBERG HERSZ DAWID OKRUTNY
JOSEF PILCER JOJNE POZNAŃSKI
IZRAEL PRUSSAK ABRAM PUŁAWER
MOJŻESZ RABON IZRAEL
RADOSZYCKI ICCHAK HERSZ
SILBERSTEIN MARKUS SMOLARZ
MOSZE JOSEF STERLING SEWERYN
SZAJEWICZ SYMCHA BUNIM
SZUMACHER IZRAEL SZYKIER EZRA
TRAJSTMAN SIMCHA TRUNK
JECHIEL JESZAJA UGER
JESZAJA ULINOWER MIRIAM
WEISENBERG ICCHAK MAJER
WODNIK CHAIM ZYLBERCWAJG
ZALMEN ZYTMAN DAWID ŻYTNIKI
HERSZ LEJB

**WŚRÓD
ŁÓDZKICH
ŻYDÓW**

pod redakcją

Dariusza Dekiarta
Krystyny Radziszewskiej
Ewy Wiatr

WŚRÓD ŁÓDZKICH ŻYDÓW

Wspomnienia
o mieście
młodości

Seria Kultura Literacka Łodzi

Rada Naukowa serii

Katarzyna Badowska
Tomasz Cieślak
Dariusz Dekiert
Karolina Kołodziej
Monika Kucner
Krystyna Pietrych
Krystyna Radziszewska
Anna Warda
Ewa Wiatr



WYDAWNICTWO
UNIWERSYTETU
ŁÓDZKIEGO

[Kup książkę](#)

WŚRÓD ŁÓDZKICH ŻYDÓW

Wspomnienia
o mieście
młodości

pod redakcją

Dariusza Dekier
Krystyny Radziszewskiej
Ewy Wiatr

 **WYDAWNICTWO
UNIwersYTETU
ŁÓDZKIEGO**
Łódź 2023

[Kup książkę](#)

Dariusz Dekiert (ORCID: 0000-0001-8371-1438)
Krystyna Radziszewska (ORCID: 0000-0002-6508-9742)
Uniwersytet Łódzki, Wydział Filologiczny, Zakład Niemcoznawstwa
90-236 Łódź, ul. Pomorska 171/173

Ewa Wiatr (ORCID: 0000-0003-2675-0726)
Uniwersytet Łódzki, Wydział Filozoficzno-Historyczny, Centrum Badań Żydowskich
90-219 Łódź, ul. A. Kamińskiego 27a

Recenzentki
Joanna Degler, Joanna Nalewajko-Kulikov

Redaktor inicjujący
Urszula Dzieciatkowska

Redaktor Wydawnictwa UŁ
Piotr Pietrych

Skład i łamanie
Adam Sitarek

Korekta techniczna
Leonora Gralka

Projekt okładki
Polkadot Studio Graficzne Aleksandra Woźniak, Hanna Niemierowicz

Publikacja powstała w ramach programu Ministra Edukacji i Nauki pod nazwą
Narodowy Program Rozwoju Humanistyki w latach 2015–2023 nr 0100/NPRH4/H1a/83/2015



© Copyright by Authors. Łódź 2023
© Copyright for this edition by Uniwersytet Łódzki, Łódź 2023

Wydane przez Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego
Wydanie I. W.10697.22.0.K
Ark. wyd. 22,8; ark. druk. 20,375

ISBN 978-83-8220-994-5; e-ISBN 978-83-8220-995-2

Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego
90-236 Łódź, ul. Matejki 34A
www.wydawnictwo.uni.lodz.pl
e-mail: ksiegarnia@uni.lodz.pl
tel. (42) 635 55 77

SPIS TREŚCI

Dariusz Dekiert, Krystyna Radziszewska, Ewa Wiatr

Od redakcji 9

Josef Okrutny

Bałuccy tkacze (przełożyli: Anna Szyba oraz Dariusz Dekiert)

Wstęp 15

Na krańcu świata 17

Mosze Inowłodzki 19

Opowieść o szczęściu 25

Złote miasto 28

Nowe zajęcie 32

Miasto jest duże i szerokie 34

Ojciec i syn 36

Symcha Bunim i jego przyjaciel Szachna 40

Ulica Pieprzowa 43

Plac Jojne Pilcera 45

Z opowieści tkaczy 50

Pinkus Minc

Łódź w moich wspomnieniach. Fragmenty z dzieciństwa i młodości

(przełożył Dariusz Dekiert)

Podwórko przy naszej ulicy 59

Pijacy i prostytutki na naszej ulicy 67

Szabatowe ulice 71

Z chederu do szkoły 72

Wojna rosyjsko-japońska 76

Epizody z roku 1905 w Łodzi 78

My, dzieci, uczestniczymy w strajku szkolnym 81

Atmosfera na ulicy 82

Walka z „wesołymi domkami” 84

Żydowska samoobrona 85

Mord na synu Silbersteina. Generał Kaznakow zostaje gubernatorem 86

Ulica Cegielniana 88

Gmina Żydowska w Łodzi 101

Wydział Pogrzebowy w gminie 107

Stary i nowy cmentarz 112

Blok chasydzko-asymilatorski w gminie 115

Pomoc socjalna w gminie 120

Szymon Dżigan

Siła żydowskiego humoru (przełożyła Magdalena Ruta)*Polska* 129

Mojżesz Puławer

Ararat i łódzkie indywidualności (przełożyli: Julia Makosz oraz Dariusz Dekiert,

Natalia Krynicka, Krystyna Radziszewska)

Koła dramatyczne w Łodzi 185*Koło dramatyczne Undzer Winkl* 188*Dawid Bajgelman – kompozytor Araratu* 189*Iza Harari (Wajnberg)* 191*Czterech Mojżeszów* 192*Henoch Kon – kompozytor i konferansjer* 194*Izrael Szumacher* 197*Łódzki „Hazomir”* 198*Humorysta Obarżanek* 199*Teatr Marionetek* 201*Astoria, Brudny Szmul i ich stali goście* 202*Żydowscy muzykanci podwórkowi w Łodzi* 204*Ślepy Maks* 206*Berke – śpiewak podwórkowy z laską* 208*Kataryniarze* 210*Ulica Pieprzowa* 213

Icchak Goldkorn

Łódzkie portrety. Zamordowani pisarze języka jidysz i inne postacie

(przełożyli: Dariusz Dekiert, Agata Reibach, Magdalena Ruta)

Mosze Broderson 217*Miriam Ulinower* 225*Mosze Josef Smolarz* 227*Alter Hofman* 233*Chaim Wodnik* 236*Herszele „Zohar”* 240

Icchak Janasowicz

Łódzkie lata (przełożyła Natalia Krynicka)*Izrael Rabon: szkic do portretu* 243

Chaim Lejb Fuks

Łódź na wysokościach (przełożyli: Agata Reibach, Dariusz Dekiert)*Jankiel Lerer – autor bajek ludowych* 262*Pierwsze periodyczne wydawnictwa i ich współpracownicy* 264*Łódzka prasa codzienna i jej współpracownicy* 266

<i>Miriam Ulinower i jej krąg literacki</i>	284
<i>Pod niemiecką okupacją</i>	286
<i>W niepodległej Polsce</i>	293
<i>Salon literacki Icchaka Kacenelsona</i>	296
<i>Periodyki</i>	300
<i>Mojżesz Broderson i łódzkie grupy literackie</i>	303
Izrael Rabon	
<i>Zapiski z 1939 roku</i> (przełożyła Monika Polit)	307
<i>Wykaz skrótów</i>	315
<i>Indeks nazwisk</i>	317

OD REDAKCJI

Prezentowany zbiór wspomnień dawnych mieszkańców Łodzi żydowskiego pochodzenia to próba przybliżenia współczesnym czytelnikom roli, jaką Łódzcy Żydzi odgrywali w życiu miasta, w tym ich oryginalnej aktywności kulturalnej. Teksty wspomnieniowe, które należą do kategorii tekstów autobiograficznych, cieszą się rosnącym zainteresowaniem badaczy i coraz częściej wykorzystywane są jako źródło w różnych dziedzinach nauk społecznych i historycznych. Dzięki nim zarówno naukowcy, jak i zwykli czytelnicy mają bezpośredni dostęp do świata wartości, wyobrażeń, mentalności poszczególnych jednostek, do wiedzy dotyczącej społeczeństwa w danym miejscu i czasie. Jak zauważa niemiecki badacz Wienfried Schülze, dzięki tekstom wspomnieniowym jesteśmy bliżej ludzi żyjących w danym momencie historycznym¹. Dotyczy to szczególnie grup marginalizowanych przez historiografię, które nie zajmowały eksponowanych miejsc w danej społeczności. Korzystanie z tego rodzaju źródeł jest pisanem historii „od dołu”, drogą od mikrohistorii do makrohistorii. Teksty wspomnieniowe i autobiograficzne należą do zbioru dokumentów osobistych, nazywanych też ego-dokumentami. Mieszczą się w nim obok wspomnień, dzienników, listów także m.in. różnego rodzaju dokumenty, życiorysy, fotografie, nekrologii czy też wywiady prasowe, które dostarczają wiedzy o tym, jak ich autor i/lub bohater postrzegał siebie w rodzinie, w najbliższej wspólnotie czy w obrębie całego społeczeństwa. Nawet jeśli takie dokumenty osobistego świadectwa mają ograniczone znaczenia dla ustalenia faktów historycznych, ich niezaprzeczalnym atutem jest szczególne prezentowanie rzeczywistości, którego wartością nie musi być faktograficzna poprawność, są nią natomiast utrwalone emocje, subiektywne spojrzenie autora. Ich problematyczność na poziomie faktografii wynika przede wszystkim z subiektywizmu. Na inne przyczyny faktograficznych usterek zwrócił uwagę Władysław Czapliński, wymieniając trzy podstawowe: zawodność pamięci, naturalną tendencję do przedstawienia własnej osoby w dobrym świetle oraz częste uleganie własnym sympatiom i antypatiom w stosunku do innych osób².

Łódź przełomu XIX i XX wieku oraz pierwszych dziesięcioleci wieku XX to bardzo szybko rozwijająca się metropolia przemysłowa, a jednocześnie – miasto wielokulturowe. W opracowaniach często czytamy o Łodzi jako o tyglu, w którym mieszkali obok siebie Polacy, Niemcy i Żydzi, czego ikonicznym symbolem stali się bohaterowie *Ziemi Obiecanej* Władysława Reymonta. Byli także (do 1914 roku) Rosjanie – Łódź znajdowała się wtedy na terenie zaboru rosyjskiego, z czym łączyła się obecność carskich urzędników.

¹ W. Schülze, *Ego-Dokumente. Annäherung an den Menschen in der Geschichte*, [w:] *Ego-Dokumente. Annäherung an den Menschen in der Geschichte*, red. W. Schülze, Berlin 1996, s. 11.

² W. Czapliński, *Pamiętnik jako źródło dla historyka nowożytnego*, „Pamiętnikarstwo Polskie” 1972, nr 2, s. 2.

Niemniej oficjalną siedzibą gubernatorstwa był Piotrków Trybunalski, a język rosyjski, choć urzędowy, był powszechny głównie wśród Żydów pochodzących z zachodnich guberni imperium rosyjskiego, zwanych litwakami. Łódź to również miejsce konfliktów wywołanych gwałtownym wzrostem głębokich podziałów społecznych – rosnących fortun bogatych fabrykantów i pogłębiającej się biedy bałuckich zaułków. W tej przemysłowej metropolii urodziło się lub mieszkało bardzo wielu żydowskich twórców. W strukturze ludnościowej Łodzi do 1939 roku ludność żydowska liczyła około 30%. Podobnie jak pozostali mieszkańcy Żydzi byli bardzo zróżnicowani pod względem zamożności oraz poziomu edukacji, lecz również poglądów politycznych czy podejścia do religii i tradycji. Część, szczególnie ci najbogatsi, ulegała procesom asymilacji, inni próbowali tworzyć nową żydowską tożsamość w oparciu o świeckie wykształcenie i światopogląd. Niemala grupa pozostała jednak wierna tradycyjnym wartościom, próbując dostosować swoją religijność do dynamicznie zmieniającego się, nowoczesnego świata. Charakterystyczną cechą społeczności żydowskiej była wielojęzyczność, co znajdowało wyraz w różnego rodzaju wydawnictwach. Jej przedstawiciele pisali w języku hebrajskim, także na tematy świeckie, pisali również po polsku i po niemiecku, publikując w tych językach książki, czasopisma oraz artykuły w łódzkich gazetach. Szczególnym i znaczącym fenomenem była zwłaszcza twórczość w języku jidysz, który stał się językiem rodzącej się nowoczesnej żydowskiej kultury, awansując z pozycji „żargonu”, traktowanego pogardliwie nieraz przez samych Żydów, zwłaszcza zwolenników Oświecenia, do roli pełnoprawnego języka społecznej komunikacji, a także oryginalnej i wybitnej twórczości literackiej. W Łodzi w stosunkowo krótkim okresie międzywojennym powstał imponujący zbiór publikacji w jidysz, obejmujący kilkaset książek, almanachów, czasopism artystycznych; w tym języku odbywały się też niezliczone odczyty, wieczory literackie i inne uroczystości. Również łódzka prasa codzienna w jidysz była miejscem, gdzie publikowano utwory całej rzeszy twórców – zarówno tych uznanych, jak i młodych debutantów. Z łódzkimi jidyszowymi dziennikami, szczególnie z „Łodzer Togblat”, współpracowali w latach 1907–1915 wybitni twórcy literatury żydowskiej, także spoza Łodzi, dziennik ten stał się „prawdziwą trybuną pisarzy żydowskich”³; w międzywojennym dwudziestoleciu podobną rolę pełnił dziennik „Najer Folksblat”. W Łodzi powstawały żydowskie grupy teatralne i artystyczne, często o bardzo nowatorskim charakterze. Ale choć szczególny charakter miasta sprzyjał unikalnym inicjatywom, nie dawał im jednocześnie możliwości długiego trwania. Składały się na to wielorakie przyczyny, do głównych na pewno można zaliczyć brak stałego finansowego zaangażowania mecenasów oraz zmienne zainteresowania odbiorców. Jako młode, przemysłowe miasto Łódź nie miała instytucji kulturalnych o długiej tradycji, które mogłyby stać się wsparciem dla lokalnych twórców i ich inicjatyw. Te okoliczności sprawiały, że bardzo wielu z nich opuszczało Łódź⁴.

³ G. Rozier, *Mojżesz Broderson. Od Jung Idysz do Aranatu*, tłum. J. Ritt, Łódź [2008], s. 12.

⁴ Obrazowo przedstawił to w swoim tekście łódzki dziennikarz i pisarz Eli Baruchin, zob. E. Baruchin, *Łódź eksportuje manufakturę i artystów*, „Almanach. Rocznik »Naszego Przeglądu«” 1939, s. 146–148.

Zamysłem redaktorów trzeciej antologii powstałej w ramach badań nad kulturą literacką Łodzi do 1939 r. było zaprezentowanie wspomnień pokazujących bujne życie żydowskiej społeczności miasta. Wszyscy autorzy wspomnień funkcjonowali w kręgu języka jidysz, w tym też języku ich teksty zostały napisane.

Na tom składają się fragmenty publikacji ośmiu autorów, co czyni go najpełniejszym wydaniem po polsku zbiorem wspomnieniowym związanym z Łodzią autorów jidyszowych. Dotąd czytelnicy mieli możliwość poznania wybitnych pod względem literackim tekstów pisarza Jechiela Jeszai Trunka⁵. W publikacji *Łódzkie sceny żydowskie* znalazły się teksty wspomnieniowe Abrahama Morewskiego i Zygmunta Turkowa⁶. W ostatnich latach pojawiły się fabularyzowane wspomnienia Chawy Rosenfarb zapisujące wydarzenia rozgrywające się przed, w czasie i po I wojnie światowej oraz pierwszy tom trylogii *Drzewo życia* opisujący rok 1939⁷. W wydanej przed kilku laty antologii *Sztetl, szund, bunt i Palestyna* znajdują się z kolei wspomnienia łódzkiego anarchisty Lejba Berkenwalda⁸, natomiast tekst Icchaka Janasowicza, zamieszczony w niniejszym tomie, miał swój pierwodruk w książce *Bałuty* Izraela Rabona⁹. Zdecydowanie liczniejsze wspomnienia wydawane w Polsce i tłumaczone z jidysz dotyczą okresu II wojny światowej. Nierzadko przywołuje się nich czasy przedwojenne, budując kontrast z grozą ekstremalnych doświadczeń, które stały się udziałem łódzkich Żydów w okresie hitlerowskiej okupacji, tym niemniej głównym wątkiem jest w tych tekstach Zagłada.

Wybór pozycji i konkretnych fragmentów do antologii to zawsze efekt kompromisu związanego chociażby z dostępnością tekstów, naznaczonego w dodatku nieuniknionym subiektywizmem decyzji redaktorów. Tak jest i w tym przypadku. Zasadniczą cechą wspólną łączącą prezentowane i poza tym zróżnicowane (także co do walorów literackich) teksty jest tematyczny związek z Łodzią oraz język, w którym zostały napisane – a także to, że są to wspomnienia pisane z bardzo niekiedy dużego dystansu czasowego i przestrzennego. Łódź jest w nich nie tylko miastem młodości i początków artystycznej czy pisarskiej aktywności autorów, ale również światem, który bezpowrotnie przeminął, do którego nie ma dostępu, również w bardziej może przyziemnym, ale nie mniej ważnym aspekcie możliwości weryfikacji tego, co zapamiętane w autentycznych miejscach wydarzeń, w bibliotekach i archiwach. Stąd też częsty brak obiektywizmu w opisach zjawisk czy faktograficzne nieścisłości. Tym niemniej publikowane wspomnienia mogą stanowić materiał wyjściowy do dalszych badań. Przykładem może tu być choćby opis

⁵ J. J. Trunk, *Pojłn. Obrazy i wspomnienia z Łodzi*, tłum i oprac. A. Clarke, Łódź 1997; tenże, *Moje życie wpisane w historię Żydów w Polsce*, tłum. A. Clarke, Warszawa 1997.

⁶ A. Morewski, *U Kompaniejców w Łodzi*, [w:] *Łódzkie sceny żydowskie*, pod red. M. Leyko, Łódź 2000, s. 213–218; Z. Turkow, *Trupa Kompaniejca*, tamże, s. 219–222. Oba teksty przełożyła M. Bułat.

⁷ Ch. Rosenfarb, *Miedzy miasteczkiem i Łodzią. Opowieść o miłości*, przeł. J. Lisek, M. Ruta, I. Stempin, Łódź 2020; też: *Drzewo życia*, t. 1, *Rok 1939*, przeł. J. Lisek, M. Ruta, Łódź 2015.

⁸ L. Berkenwald, *Memuary albo okruchy z życia Lejba*, tłum. A. Jakimyszyn-Gadocha, [w:] *Sztetl, szund, bunt i Palestyna. Antologia twórczości literackiej Żydów w Łodzi (1905–1939)*, red. K. Radziszewska, D. Dekiert, E. Wiatr, Łódź 2017.

⁹ J. Rabon, *Bałuty. Powieść o przedmieściu*, red. K. Radziszewska, N. Krynicka, Łódź 2016.

funkcjonowania łódzkiej gminy żydowskiej w latach przed I wojną światową, który dał pracujący w niej wtedy Pinkus Minc. Z kolei wspomnienia Minca z wczesnego dzieciństwa to nie tylko arcyciekawy w oryginalnych detalach i realiach opis wielokulturowej Łodzi z początków XX wieku, ale też niezwykle interesujący dla dzisiejszego polskiego czytelnika obraz odrębności społeczności żydowskiej – zarysowany z jej perspektywy: dla urodzonego w Łodzi małego żydowskiego chłopca to Polacy-katolicy są niezwykle i groźnymi obcymi. Unikalny charakter mają również wspomnienia Szymona Dżigana i Mojżesza Puławera, cenne dla badaczy dziejów przedwojennych teatrów żydowskich, w których obaj występowali. Dalsze teksty opisują z kolei przede wszystkim środowisko łódzkich literatów żydowskich. Mamy więc *Łódzkie portrety* Icchaka Goldkorna, w których prezentowani są zarówno uznani poeci, jak Miriam Ulinower, jak też barwne postaci łódzkiej bohemy żydowskiej, jak Chaim Wodnik. Szkic Icchaka Janasowicza poświęcony jest Izraelowi Rabonowi, jednemu z najoryginalniejszych w pierwszej połowie XX wieku, nie tylko w skali Łodzi, pisarzy tworzących w jidysz. Dla badaczy szczególnie cenny wydają się fragmenty tekstu Chaima Lejba Fuksa *Łódź na wysokościach*, który stanowi przekrojowe kompendium wiedzy o żydowskich twórcach. Fuks daje zresztą nie tylko i nie tyle nawet wspomnienia, ile bardziej jeszcze próbę drobiazgowej faktografii, zwłaszcza we fragmentach poświęconych rozwojowi łódzkiej prasy w jidysz. I choć faktograficzna rzetelność tekstu Fuksa, pisanego, warto powtórzyć, z dystansu czasowego i przestrzennego, bez dostępu do archiwów, budzić może wątpliwości (co niekiedy zasygnalizowano w przypisach), a natłok przywoływanych osób, nazwisk, tytułów publikacji zdawać się może mało atrakcyjny dla czytelnika, warto w tym tekście zobaczyć szlachetny gest ocalania bezpowrotnie minionego świata, próbę zbudowania panoramy licznej i różnorodnej zbiorowości pisarzy, poetów, dziennikarzy, felietonistów, publicystów, redaktorów, nierzadko zapomnianych, których dorobek uległ rozproszению, ludzi, którzy tworzyli fenomen żywiołowego rozwoju kultury żydowskiej i piśmiennictwa w jidysz w Łodzi przed katastrofą Zagłady.

Odmienny charakter niż pisane z dystansu wspomnienia, mają dwa teksty, które w niniejszej antologii tworzą ramę dla pozostałych. *Bałucy tkacze* Josefa Okrutnego to właściwie powieść, której fragmenty zdecydowaliśmy się jednak włączyć do antologii na zasadzie swoistego wstępu, ponieważ Okrutny sięga w tym utworze dalej w przeszłość niż którykolwiek z pozostałych autorów, dając obraz tworzenia się społeczności żydowskiej w Łodzi w drugiej połowie XIX wieku, w okresie, gdy samo miast było jeszcze *in statu nascendi*. Z kolei zamykający antologię tekst Izraela Rabona pisany był w przeciwieństwie do pozostałych z niewielkim dystansem czasowym, ale ma wartość także symboliczną: autor opisuje w nim pierwsze dni II wojny światowej przeżyte jeszcze w Łodzi, ale z rodzącą się już świadomością, że to początek końca dawnego świata. Rabon jako jedyny spośród prezentowanych autorów nie przeżył wojny, przez co jego wspomnienia z września 1939 roku nabierają podwójnie symbolicznego znaczenia: są zamknięciem jego twórczości i jednocześnie zamknięciem dziejów tworzonej w przedwojennej Łodzi literatury jidysz.

Wszystkie teksty zostały poprzedzone biogramem autora oraz opatrzone zwięzłymi i niezbędnymi przypisami. Niestety części postaci nie udało się zidentyfikować, nie zawsze było też możliwe dotarcie do informacji o dalszych losach osób rozpoznanych. Antologia powstała przy okazji prac nad *Słownikiem kultury literackiej Łodzi do 1939 r.*, w którym czytelnik może znaleźć wiele dodatkowych informacji.

Dużym problemem dla redakcji była pisownia imion i nazwisk prezentowanych twórców oraz transkrypcja wyrazów. Język hebrajski i jidysz nie posiadają jednolitej transkrypcji na alfabet łaciński i w różnych publikacjach, szczególnie gdy dodatkowo różnią się językiem, nazwisko tej samej osoby czy słowo może być zapisane na kilka sposobów. Staraliśmy się dostosować pisownię do publikacji ukazujących się w języku polskim, szczególnie do wspomnianego *Słownika kultury literackiej Łodzi* oraz ułatwić jej odbiór czytelnikowi, stosując polską transkrypcję fonetyczną. Jest to transkrypcja zwyczajowa i nie stanowi żadnego oficjalnego standardu; niekiedy posłużono się też utrwalonymi formami spolszczonymi (np. „tales”). Słowa hebrajskie transkrybowane są w używanej obecnie wymowie sefardyjskiej. Jeżeli nie zaznaczono inaczej, cytaty biblijne podawane są w przekładzie Biblii Tysiąclecia, podobnie jak sigła biblijne. Tłumaczenia tekstów powstały (poza jednym wyjątkiem) specjalnie na potrzeby niniejszej antologii i oparte są na pierwotnych publikacjach źródłowych, których dane bibliograficzne podane są na początku utworu. Tłumaczenia tytułów utworów literackich, książek, czasopism i dzienników podawane w nawiasach kwadratowych pochodzą od redakcji.

* * *

Redaktorzy składają serdeczne podziękowania wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tej publikacji. Słowa uznania kierowane są przede wszystkim do tłumaczy z języka jidysz: Natalii Krynickiej, Julii Makosz, Monice Polit, Agacie Reibach, Magdalenie Rucie oraz Annie Szybie. Na ostateczny kształt tekstów nieoceniony wpływ miał redaktor Piotr Pietrych. Mamy nadzieję, że ciągle wprowadzane zmiany nie zniechęcą go do dalszej współpracy. Jesteśmy również wdzięczni za umożliwienie druku wspomnień spadkobiercom autorów. Cieszymy się, że dzięki tej książce ich twórczość zostanie przypomniana, a łodzianie zdobędą możliwość spojrzenia na historię miasta z tak wyjątkowej perspektywy.

Publikacja powstała dzięki finansowemu wsparciu Ministerstwa Edukacji i Nauki w ramach Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki. Jest ona dopełnieniem *Słownika kultury literackiej Łodzi do 1939 r.*, który powstał w ramach tego samego programu ministerialnego.

Dariusz Dekiert
Krystyna Radziszewska
Ewa Wiatr

Josef Okrutny

Prozaik piszący w jidysz; właśc. Josef Turko. Urodził się w 1906 r. w Kutnie, ale od dziecka związany był z Łodzią. Uczył się w chederze, skończył także świecką szkołę średnią. Okres II wojny światowej przetrwał w ZSRS, po wojnie wrócił do Polski. W latach 1946–1949 był redaktorem jidyszowych audycji radiowych przygotowywanych pod patronatem Centralnego Komitetu Żydów Polskich. W końcu 1949 r. wyjechał z Polski i przebywał w obozach dla uchodźców w Austrii i we Włoszech. Od 1951 r. mieszkał w Buenos Aires, gdzie zmarł w 1991 r.

Debiutował w 1925 r. opowiadaniem *Dos tencerl* [Tancerczka] w „Lodzer Togblat”. W latach 1925–1934 był członkiem redakcji „Najer Folksblat”, ponadto pisał dla „Undzer Togblat”, „Folksblat”, „Lodzer Weker”, „Dos Naje Lebn”, „Moment”, „Folkscajtung”, „Literarische Beter”, a także dla prasy łotewskiej, amerykańskiej, francuskiej, sowieckiej i in. Opublikował tomy prozy: *Undzer orem brojt* [Nasz biedny chleb] (Warszawa 1936), *Hojz ojfaltszot* [Dom w starym mieście] (Warszawa 1938), *A bojm in wint* [Drzewo na wietrze] (Łódź 1948), *Undzer szul* [Nasza szkoła] (Warszawa 1949). Kolejne tomy prozy opublikował w Buenos Aires, m. in. *Baluten webers* [Bałuccy tkacze] (1953), *Unter lejmene decher. Motiwn fun sowietische jorn* [Pod glinianymi dachami. Motywy z lat sowieckich] (Buenos Aires 1957). Używał pseudonimów Josef Nirwan, A. Tojger, Jasze Glikin i Glike Wajsbberg. Kilka napisanych tuż po II wojnie utworów J. Okrutnego ukazało się w polskim przekładzie w: *Nowe życie? Antologia literatury jidysz w powojennej Łodzi (1945–1949)*, red. M. Ruta, Łódź 2018.

Bałuccy tkacze¹

WSTĘP

Napisana w przedwojennej Polsce, w 1939 roku książka *Bałuccy tkacze* przeszła przez kilka wcieleń. Manuskrypt podążał za mną krok w krok. Gdy musiałem sam, w październiku 1939 roku, opuścić Łódź, przeschmugłowano go kilka tygodni później ze spalonego, pełnego szubienic z Żydami miasta. Zimą 1940, gdy w sowieckiej polityce zarysowała się tendencja zbliżenia z jednostkami twórczymi kulturowo na nowopodbitych terenach, do centrum uchodźców w Białymstoku przybyła delegacja sowieckich jidyszowych pisarzy. [...] Stało na tym, że *Bałuccy tkacze* zostaną wydane w państwowym wydawnictwie „Der emes” [Prawda]. Już w marcu tego samego roku wezwano mnie do Moskwy, gdzie zawarłem umowę na tę książkę, która miała ukazać się pod redakcją literaturoznawcy Majera Winera.

Piszę „miała się ukazać”, gdyż słowa te zawierają jej gorzki los oraz odsyłają do sytuacji politycznej.

¹ Pierwodruk i podstawa przekładu: J. Okrutny, *Baluter webers*, Buenos Aires 1953, s. 15–42, 63–73, 85–114, 140–153, 159–175, 183–215, 224–231, 235–257, 268–279, 312–320, 335–341.

Doszło jednak do zdradzieckiej hitlerowskiej napaści na Związek Sowiecki, co dla nas oznaczało nową, straszną wojnę. Na nowo musiałem uciekać, by ratować życie. Okupowany przez Sowieców Białystok leżał w zasięgu pierwszego ostrzału niemieckich najeźdźców. Śmierć znowu zajrzała mi w oczy, a wszystko, co było mi bliskie i drogie znów przepadło w wielkim zamęcie. Zostawiłem na pastwę nieubłaganego losu moje nowe mieszkanie przy ulicy Ciepłej 20, gdzie zniszczeniu uległ manuskrypt prawie skończonego drugiego tomu *Bałuckich tkaczy*.

Jednak również losy pierwszego tomu, w Moskwie, stały się zależne od sytuacji w kraju. Niemieccy żołnierze błyskawicznie wkroczyli w głąb terenów ZSRS, zajmując Białoruś, Ukrainę, okupując republiki nadbałtyckie, a radio dzień i noc alarmowało niezliczonych obywateli sowieckich: Moskwa jest zagrożona. Wydawnictwo „Der emes” ewakuowano gdzieś za Ural, a w liście od dyrektora, Lwa Strongina, poinformowano mnie, że pomimo zaistniałej sytuacji książka znajduje się na etapie tworzenia matryc. „Bądźcie spokojni, wasi *Tkacze* są bezpieczni i zostaną wydani przy pierwszej okazji.” Podobny list otrzymałem po reewakuacji, pod koniec 1944 roku. W 1945 lub 1946 roku, gdy mieszkalem w Moskwie – mówiło się wtedy już o repatriacji i opuszczeniu ZSRS – jedno stało się jasne: ci, którzy wyjadą nie będą godni, by ich książki ukazały się w sowieckim wydawnictwie.

Po wielu trudach udało mi się wydobyć z wydawnictwa kopię rękopisu, mającego już wtedy za sobą bardzo długą drogę.

Pod koniec 1949 roku gdy nadarzyła się niepewna okazja do wyrwania się ze zrujnowanej Warszawy znów nie mogło być mowy o ratowaniu manuskryptu. Znów musiałem opuścić ledwie co zagrzone miejsce, które po raz kolejny stało się grobem zniszczonych nadziei. Manuskrypt *Bałuckich tkaczy* cudem przedostał się przez kraje i morza, by ostatecznie dotrzeć do Izraela, ja zaś, jego autor, przez zielone granice przedostałem się do Argentyny, by tam na nowo budować mój zniszczony dom. [...]

Książka, którą oddaję czytelnikom, opowiada o początkach industrializacji w dawnej Polsce. Moje rodzinne miasto Łódź jest ekranem, na którym ukazałem krajobrazy, najróżniejsze typy ludzi, światy i obrazy charakterystyczne dla tego niesłychanie dynamicznego, robotniczego miasta.

Bałuccy tkacze są pierwszą książką ukazującą zwykłych Żydów zarówno w dni powszednie, jak i podczas ich biednych świąt. To opowieść o szarym człowieku, który instynktownie próbuje zerwać pęta wiążące go ze spleśniałymi, odwiecznymi nawykami.

Książka nie aspiruje do bycia dokładnym historycznym obrazem ukazującym drugą połowę XIX wieku. [...] Ma jedynie oddać kanwę, ducha tamtych czasów, widzianych oczami autora. W żadnym stopniu nie stara się być dziełem historycznym.

Dodać należy jeszcze, że *Bałuccy tkacze* ukazują się w pierwotnej redakcji, którą autor przygotował do druku na początku 1940 roku. Wprowadziłem jedynie drobne korekty językowe, by lepiej oddać charakterystyczną leksykę wymordowanej łódzkiej społeczności żydowskiej.

Przełożył z jidysz Dariusz Dekiert

NA KRAŃCU ŚWIATA

Ogromna płachta pola u stóp wciąż rozrastającego się miasta; bezkresne połacie pustkowiec, porośnięte chwastami; gdzieś tam uboga chatynka, drewniana, czarniejąca od ciągłego żaru słońca i zawieruch, domek niczym chatka czarownicy rodem z bajki dla dzieci. Było to dawno, dawno temu. Nieco później, krótko przed powstaniem, na tych oto szeroko rozciągających się pustych równinach i pagórkach pojawiły się pierwsze ślady ludzkiej obecności. W monotonnym blasku głębokiego zmierzchu, który wcześniej ogarniał tę oto pustynną ziemię, nie wiedzieć kiedy i gdzie zaczął iskrzyć zimny, odległy płomień. Znak, że gdzieś osiedlili się ludzie. Potem na tej oto ziemi wyrósł dziwny gmach, który niczym olbrzymi ptak z potężnymi skrzydłami straszył oko zapatrzone w daleki horyzont. Był to pierwszy wiatrak, który w swej marnej egzystencji podjął się żywić sycącym chlebem ludzi, którzy później tu napłyną i będą się mnożyć.

To pewnie z zazdrości szczęśliwego losu, który sprawił, że pierwszy młyn stał się zarazem pierwszym żywicielem głodujących ludzi, powstały tu później kolejne wiatraki.

Okolica ożyła, stała się bardziej swojska. Zmierzch nie zapadał już tak szybko, jak wcześniej. Stale poruszające się skrzydła wiatraka odpędziły noc, nie pozwalając jej już więcej karmić się opowieściami o demonach, czyhających tam kiedyś na każdym kroku. Ludzie mniej się już bali swoich mrocznych strachów, które się tam stale błękały, doprowadzając niemowlęta do płaczu, starcom kradnąc siły vitalne.

I tak oto stopniowo powstawała ulica Młynarska, a było na niej coraz bardziej swojsko; dom za domem mościły się wygodnie rozpościerając wokół siebie domowe ciepło i harmider. Ciągnęła się długa i wąska, a do tego pośrodku nieco zakrzywiona niczym szyja bociana. Większość jej niziutkich domów była bielona wapnem, tak że cała ta długa, trochę wykrzywiona ulica ciągnąca się pod szarym, niemal szklanym niebem naprawdę przypominała gotującego się do lotu bociana.

Ulica Młynarska biegła daleko i ginęła gdzieś w głębi bagnistych pól.

Niczym szramy na szczupłym ciele, przez pokolenia wyrosły wzdłuż niej boczne uliczki.

Każda wąska, krótka, z niskimi domkami o krzywych czarnych dachach, nad którymi wznosiło się zielonkawe niebo. Każda niczym cięcie na niewinnie-zdumiewającej postaci tej oto długiej ulicy, która wzięła swój początek w polu i w polu się również kończy.

Ulica Dworska, Ogrodowa, Pieprzowa.

– Dworska, Ogrodowa – widział kto coś takiego?

Ci, którzy się tu osiedlili, dziwili się: „czemu ulica Dworska”, skoro nie ma tu nawet śladu ziemiańskiego dworu? Małomiasteczkowi, którzy przybyli tu za pracę, nie przestawali myśleć. Nie ma tam nawet ogródka, to skąd Ogrodowa? A Pieprzowa?! Trzeba się urwać z księżycą, by nie wiedzieć, że w naszym klimacie pieprz nie rośnie. Taka sobie niewielka, wąska, uliczka, która może sobie pozwolić na to, by w ciągu białego dnia rozłożyć się pod szerokim bożym niebem i smacznie spać niczym rozleniwiony kot; taka sobie uliczka z jednym, stale drzemającym domkiem. I masz ci tu ulicę Pieprzową! Świeżo przybyli mieszkańcy tych ulic nie przestawali się dziwić ich nietypowym nazwom. Nie

trapili się tym jednak. Po prostu nie tracili czasu, by zgłębiać ten ważny problem. Jednak w domu modlitwy, gdzie się w soboty zbierali miejscowi Żydzi, by oddać Stwórcy cześć za to, że daje życie, ktoś jednak spróbował rozwikłać tę zagadkę:

– Drodzy panowie, wiem czemu w naszej osadzie nadano tyle dziwnych przydomków! – zwrócił się do zgromadzonych z widocznym na twarzy ożywieniem.

– To znaczy? – zaciekawili się ludzie.

– Bo Jeke, ten stary Niemiec z fajeczką w gębie, był pierwszym gospodarzem tej ulicy, a on się nazywa Pfeffer.

– Jak, jak się nazywa ten stary oszust?

– Pfeffer się nazywa, ten Niemiec. Heinrich Pfeffer. Porządny z niego gość. Kłania się każdemu...

– Ach tak, ach tak!... To się stary doczekał honorów od ruskich – nie przestawali się dziwić.

Pytają go: – A skąd ulica Dworska, ulica Ogrodowa?

– Co? I to też mam wiedzieć? Ktoś mnie do tego najął?

Bo tego mądry Żyd już nie wiedział. „Tylko sobie wyobrażam, – wyjaśniał swojemu towarzyszowi w drodze z minjanu² – że były tam kiedyś jakieś ogrody, sady i folwark. To musiało być pewnie przed Poniatowskim, a może i jeszcze wcześniej”. Przysiąc jednak nie chciał.

* * *

Na uliczkach, które powstały u stóp miasta, zamieszkali Żydzi i chrześcijanie. Żydzi z rodzinami zjechali tu ze wszystkich zakątków Polski. Kilka lat wcześniej rozeszła się w drobnych miasteczkach wieść, że gdzieś w kraju jest takie miejsce, wielkie jak morze, gdzie spragnieni chleba ludzie mogą swobodnie zarobić dobry pieniądź. Rzeczywiście, w tej dużej osadzie jakby przez noc wyrosły fabryki i fabryczki, które dawały skąpy chleb ludowi pracującemu przy maszynach i poza nimi. Wyłonił się nowy świat. Chodziły słuchy, że tamtejsze fabryki wysyłają swoje towary do dalekiej Rosji, aż po mroźną Syberię. Mówiono, że Żydzi żyją tam w pokoju z chłopami i że nie znają żadnej nienawiści. Przeciwnie, żydowscy biedacy zbliżyli się do swoich gojskich sąsiadów, rozmawiali z nimi po gojsku i dostawali nawet trochę chleba. Goje darzyli Żydów tak dobrymi uczuciami, że nauczyli się mówić po żydowsku. Często słyszano jidysz z ust obcego i nie było jasne, czy to Żyd czy ichniejszy.

Dokładnie tak, jak to było na wąskich uliczkach na przedmieściach, było i w bogatszych okolicach. Żydowscy bogacze budowali fabryki, przyjmowali chłopów, uczyli ich trzymać w rękę narzędzia, wybijali z ciężkiej głowy kielbasę i wódkę i robili z nich, z czasem, porządnych majstrów. Tak było z Niemcami z Bohemii i Saksonii i tak z chłopami z Polski. Żyd zadowolony był z chrześcijanina, chrześcijanin z Żyda. Jeden żył z drugiego i wzajemnie się szanowali.

² Minjan (hebr.) – dziesięciu dorosłych Żydów, których obecność niezbędna jest do odmawiania niektórych modlitw oraz czytania Pisma w synagodze.

MOSZE INOWŁODZKI

Dniem i nocą lud furmankami jechał do nowego miasta, w którym pracy było w bród. A podróżowano wspólnie. Całe miasteczka Żydów otrząsały się z domów, w których wyrosli i podążały do miejsca, którego sława niosła się daleko. Drogi i dróżki wypełnione były mężczyznami, kobietami i dziećmi. Duzi i mali ciągnęli do wymarzonego miejsca, w którym można normalnie żyć, podczas gdy w domu, w niewzruszonych osadach, kawałek chleba zdobywało się ze śmiertelnym strachem. Bo wszystko tam było jak zastygłe. Chłop mieszkał w spróchniałej chacie, jadł własnoręcznie upieczony chleb, ubierał się w zgrzebną koszulę z własnego lnu. Mydła nie potrzebował, nafty też nie używał. Wieś pogrążona była w głębokim śnie, a pobliskie, zamieszkane przez Żydów miasto, dogorywało. Nie miał tam Żyd dla kogo uszyć watówkę, nie miał prawa sprzedać komuś smaru czy nafty.

Marne życie!

Z odległych, zapadłych dróg dochodziły żydowskie jęki. Płacz małych dzieci, które przez długie doby tułały się z rodzicami po wiejskich, kamienistych drogach, w ciemne noce przemieniał się w przejmujące zawodzenie, rozchodzące się w głuchych, przydrożnych karczmach. Dopiero odpoczywając w zapadłych zajazdach, w zimne, jesienne noce, przygnębite matki opłakiwały swój gorzki los. Smutne, wyziębione dzieci dźwięcznie łkając, spijały matczyne łzy. Ten oto przygnębiający chór, choć nieco stłumiony, towarzyszył przez całą dalszą drogę, nim się dotarło do błogosławionej ziemi.

– Już, chwalić Boga, już jesteśmy w domu.

Ludzie oddychali z ulgą, jakby im z serca spadł kamień, ciężki kamień z głębokiej, niepojętej troski spowodowanej strachem przed wiecznym wykorzenieniem, które towarzyszy tułaczom. Do domu jednak było jeszcze daleko.

Kobiety zanurzały najpierw kościste dłonie w biust. Stamtąd, niczym ze studni, wyciągały torebkę z pieniędzmi. Mężowi wypłacały trochę srebrnych i złotych monet, a same, z drobiazgiem, siadały pośrodku drogi. Wokół rodziny leżało trochę „betów”: dwa pomalowane na brązowo łóżka z dębowego drewna. Stały one na wysokich, solidnych nogach, by móc unieść ciężar trzech pokoleń posiadających dzieci, wychowujących dzie-ci, chcących zapewnić sobie dobre posłanie na starość, jeśli się jej dożyje. Obok zajętych łóżek sieroco gapił się w niebo wielki, ciemny, zardzewiały skopek z odłamanym uchem, czerpak z długimi chwytakami. Nieco dalej, na brudnej ziemi wałała się zwinięta pościel z ciężkimi, ciepłymi kołdrami, sarta poduszek i jaśków. Na boku stała smutno drewniana, ciemnozielona kołyska na biegunach, z obdrapanym z jednej strony bokiem, choć w rodzinie nie było już takich maluchów.

Matka w barchanowej kapocie i kwiecistym nakryciu głowy siedziała pośrodku tej kupy bogactwa. Zdziwiona przyglądała się nowemu otoczeniu. Musi pocieszyć najmłodszego:

- Gecele, tata poszedł kupić nowe mieszkanie.
- Gecele, tata przyniesie ci konika.
- Nie płacz, duszeńko.

A gdy mąż, biedaczyna, nie wrócił, rozmawia ze starszym chłopcem:

– Kiwele, gdzie szukać taty? Kto wie, czy go nie porwał jaki goj.

– Biada – szczypie się potem w policzki, by drobiazg nie dostrzegł jej zmartwienia – byle go jeszcze zobaczyć!

Dzień tymczasem odchodził spiesznie; wstał zły, z zachmurzonym niebem. Zdawało się jej, jakby patrzył jej w twarz z wyrzutem, że w takim obcym miejscu zostawiła męża samiusieńkiego jak palec.

Serce zakuło z ogromnego strachu, ścisnęło ją niczym w obręcz. W oku stanęła łza, która wydostała się prosto z zapadłej piersi.

Zapadł wieczór, a „stary” wciąż jeszcze nie wrócił z mieszkaniem, które miał wynająć.

Nad domownikami, niczym namiot, rozciągało się zielone, chmurne niebo z czerwonym, zamglonym księżycem. Matka siedziała nieruchomo na stercie ubóstwa. Dzieci, niczym milczące owieczki, wtulone w siebie nawzajem, cisnęły się wokół niej. Na kawałku rozciągającej się nieopodal pustki, w monotonnym świetle księżyca wyróżniała się sterta główek kapusty, rozsypanych pod kopułą nieba niczym góra małych, zimnych księżyców, bardziej błyszczących i świecących od tych co w górze, na głową.

* * *

Wystarczył dzień, by przybyła z zapadłego miasteczka rodzina zorientowała się, gdzie się znajduje. Obudzili się rano na odludziu, choć to przecież kraina mlekiem i miodem płynąca. Dom drewniany, duży budynek z wysokimi piętrami i długimi korytarzami, ciemno, że oko wykol. Na każdym korytarzu pełno drzwi. Każde drzwi – ciasne mieszkanie. Jak się wstawi wzdłuż ściany dwa łóżka, na kształt końcowej litery „nun”, już jest wypełnione. Ledwie wejdzie stolik i ława. Dla pozostałych mebli i sprzętu domowego trzeba znaleźć jakieś „dobre miejsce”. Nie ma ich gdzie podziać, chyba że na strychu, skrawku dziwnego pustkowia gdzieś pod dachem. W mieszkaniu trudno się odwrócić, by nie otrzeć sobie boków – skarży się matka. Żeby się drobiazg nie plątał pod nogami, musi stale siedzieć na łóżkach, albo biegać po podwórku, to jednak jest puste, ogołocone. Wokół panuje martwa cisza niczym na cmentarzu. Dzieci nie mają się czym bawić, nie mają rówieśników, by z nim dokazywać. To wszystko mizerna ciasnota wynagradza światłem. Do wąskiej izby wpada tak dużo światła, jakby wszystkie ściany były szklane, otwarte, a szerokie, odległe niebo zaglądało przez nie rozpostarte, rozlane. Tak naprawdę światło wlewało się tylko przez jedno okno, które zawstydzone, wyglądało na południe.

Szeroki, wysoki, wolnostojący dom patrzył zdziwiony na otaczające go, puste pole. Zaś świszczący tu często wiatr łamał swoje szare skrzydła o rogi stojącego samotnie budynku.

Biada! Ciężko tak stać samemu na tej ponurej ziemi – choć jest się tylko domem. A skoro tak, jak trudne jest to do zniesienia dla człowieka, który wie, że mieszka sam, niemal bez sąsiadów, daleko od miasta. Jedną tylko ma pociechę nasz Żyd, widzi, że się obok biorą za budowę. Już rozrzucono kamienie, cegły i belki.

Niechący przemysła myśl: „Skoro Bóg, niech będzie błogosławiony, stworzył taką przestrzeń dla pustki, niechybnie też przyśle kogoś, by ją wypełnił. Zapewne napłyną ludzie, przybędzie ich rój i mrowie. Ale boziunu, za co się tu brać?”

W jego Inowłodzu parali się handlem. Kupowali na wsi futerko zająca, królika, cielaka, a w mieście sprzedawali chłopu parę butów, kosę, perkal na sukienkę i smar do kół. Żona w sklepiu, on na rynku. Z dzieci też był użytek. A tu? Na odludziu, z dala od miasta. A znów w mieście tak ciężko o mieszkanie. Tam, w domu, mówiono, że tu, w Łodzi, wielkiej jak morze, całują ręce, które coś robią. Tu jest inne życie. Pracy w bród i dobrze płacą. Kupcy wypatrują sobie oczy, aż zobaczą kogoś z prowincji. A gdy się taki pojawia, już jest kupiony. A jak ma dużo dzieci, już się go złoci. Umieszcza się ich w dużym domu, wstawia mu się narzędzia, pokazuje, co i jak, i raz, dwa, już może parać się rzemiosłem. On, kupiec z Inowłodza rwie się do rzemiosła. Być zdanym na powiew wiatru, znosić cierpienia ze strony stukniętych klientów, niech to spadnie na tych, którzy mi źle życzą. Rzemiosło to rzemiosło. Człowiek siedzi w domu, pod dachem, zimno nie smaga twarzy, słońce nie pali głowy, a deszcz nie przemoczy do suchej nitki. Rzemiosło daje smaczny kawałek chleba.

Długo kręcił się Mosze Inowłodzer po opustoszałej okolicy, nie wiedząc, w którą stronę skierować swoje kroki. W prawo, jak przystało porządnemu Żydowi każdego poranka, bał się, że zabłądzi; w lewo – serce się płoszy, że mu się, Boże broń, nie poszczęści w nowym miejscu, gdzie ten co w niebie, ma mu zesłać nową pracę. Stoi więc tak, Żyd z Inowłodza, u stóp wielkiego domu z niezliczonymi oknami a w głowie się mu kotłuje. Serce bije jak dzwon. Co robić, co robić? Ojciec słodki, uchroni mnie przed nieszczęściem, odwiedź od złego kroku – ześlij mi pocieszenie. W tej chwili we własnych oczach był jeszcze mniejszy niż w rzeczywistości.

Broda zrobiła się sztywna, ostra niczym wytarta szczotka. Krok plątał się. Podnosił nogi, by iść, ale nie mógł się ruszyć z miejsca. Czuł się, jak nigdy, nic niewart, przybity. „Co się z nim dzieje? Po co było mu pchać się w świat szukać lepszego życia, skoro tu gorzej jest niż w domu... Oj, ojciec niebieski, już mnie więcej nie wystawiaj na próbę!”

Cały jego mały świat, który został w Inowłodzu, uroczym miasteczku z przejrzystym niebem i czarną ziemią; wszystkie bliskie i dalekie wsie z dziada pradziada zamieszkane przez jego rodzinę, lasy, praca, wszystko, z czego był dumny – ten oto radosny świat w jednej chwili stanął mu przed oczami. Poczuł, że wszystkie członki jego ciała wiotczeją, drętwieją, robią się obce. Głowa jak kłoc, nogi z drewna. Światło gaśnie, zapada mrok, robi się ciemno. Otwierają się mroczne otchłanie, odłamki skał, skorpiony.

Wróciwszy do siebie, Mosze Inowłodzer, niewiele myśląc, ruszył z miejsca. Wszystko jedno dokąd. Nie był nawet w stanie zapytać samego siebie: dokąd idziesz, Mosze? W głowie mieszało mu się jak po nocnym pijaństwie. Chodził więc bez celu. Czuł tylko, że potrzebuje ludzi. Obudziło się w nim instynktowne uczucie, że dobrze mu będzie wśród ludźmi, ulży mu w towarzystwie obcych.

Ocknął się nagle na czterobocznym rynku. Dookoła domy, niewielkie kamienice z okienkami dachowymi przypominającymi gotujące się do lotu pustułki, które już za

chwile wyfruną strasząc zabieganych ludzi. Jeden rząd domów biegnie od rynku daleko w górę i Moszemu zdaje się, że się nie kończy. Rynek jest mały, ale wypełniony ludźmi. Stoją przy stolikach, straganach. Na każdym stoliku, na każdym straganie wszelkiego rodzaju towary: buty, damskie wiązane trzewiczki, walonki, dziecięce skarpetki, sterta mydła, kupka cukru, worek grochu, worek mąki, torebka kawy, paczuszki herbaty. Z jednego stolika dochodzi drażniący, octowy zapach unoszący się z cienkiego blaszanego kominka. To „czajnik” bez ścianek, tylko z żelaznym daszkiem. Tu przy tym straganie, można dostać szklankę herbaty, świeżą pajdę czy bułkę, a ukradkiem i wódeczkę.

Inowłodzer stoi i nie może się nadziwić. Cuda go fascynują. Rynek! Rynek, jak w Inowłodzu, a jednak inny. Niech no tylko zapadnie cisza, a uporządkuje swoje rozpiezchnięte myśli: jakiż to dziś mamy dzień? Zdaje się, że środe. Tak, środe. Wczoraj był wtorek. Racja, wtorek. Tak wyliczył, żeby z domownikami przybyć tu pewnego pięknego dnia, koło wtorku. Dziś więc środa. Jak to możliwe, by w zwykłą środę był dzień targowy? I gdzie się podziali chłopci? A wozy z towarem, z kurami, cielakami, świniami. W uszach grała mu melodia sztetlowego jarmarku, z gęganiem, świńskim kwiczeniem, końskim rzeniem i gojskimi pijakami, swojskie dźwięki. Ogarnęła go tęsknota za domem ojców, miejscem, do którego był przywiązany.

Sprawdził cały rynek, nasz Żyd, lecz nie znalazł śladu chłopca czy chłopki. Dziwy nad dziwami. Żydzi wystawili na ulicy swoje kramy, budki, a chłopca ni na lekarstwo!

Miastowy Żyd nie mógł zbyt długo dziwić się tym cudom, bo przed jego oczami wnet się odkryła kolejna nowość. Oślupiał: zobaczył biegnącą dół rynku kolejną uliczkę pełną domków i ciemnych, po brzegi wypakowanych sklepików. I ciekawa rzecz: frontowymi drzwiami i oknami domki te stoją na wzniesieniu, natomiast ich tylna część klęczy w dolinie. Inowłodzer ciężko podnosił nogi, gapił się. Niczym ciekawski chłopiec zapuścił się w tę boczną uliczkę, odrywającą się od czterobocznego rynku. Cuda! Uliczka niczym małe miasteczko szumi, rozbrzmiewa odgłosami kramów i klientów, a od tyłu jej podwaliny płuczą się w głębokiej, szerokiej wodzie, od której woń dochodzi taka, że aż rozpiera skronie.

Ruszył Mosze ciemną uliczką ze składzikami, przez luki między domami, ku rwącej, śmierdzącej wodzie. Stawiał niepewne kroki, jakby stapał po jajach. Bał się, by, broń Boże, nie wdepnąć butem w bagno. Wie, że niedaleko jeziora czy rzeki, ziemia jest rozmiękła, przemoczona, niebezpiecznie nią chodzić. Przestraszonym, a zarazem zadziwionym wzrokiem przyglądał się to sklepikom znajdującym się na górze, na ulicy, to w wodzie klębiącej się w dole, niedaleko ruin. Skołowany zastanawiał się: Jak się stąd ruszyć, skoro woda stoi niczym płot! Jak ją przejść, gdy się chce iść dalej w dół, trafić do wsi? Co za pech! – A oczy mu błyszczały.

W wyobraźni Inowłodzer stale widział chłopca ze swoich okolic: solidny goj w kudłatym, przewiązanym powrozem futrze, z czerwoną, zawadiacką chusteczką owiniętą wokół szyi. Takiego chłopca trzeba sprowadzić tu, do tego miasta – myślał Mosze. On, Moszek, będzie z nim handlował, tak jak w domu. Goj się na nim pozna, ale jak tu znaleźć sposób na przejście tej śmierdzącej wody!

Mosze Inowłodzer nie mógł tak długo stać w miejscu i oddawać się swoim przemyśleniom. Zbudziły go krzyki i nieumyślne szturchnięcia.

Dokąd idzie Mosze? Dziwi się sam nad sobą, mimo to wlecze się dalej.

Czego ma się bać, myśli dalej. Jest, jak widzi, wśród rzeszy Żydów. Jeśli po drodze natrafi na wodę i nie będzie żadnego „dalej”, zawróci.

Tylko nie biegnij, Mosze! – budzi się w nim niejasny niepokój pomieszany z dziecięcą naiwnością – przyglądaj się znojowi ludzkiemu.

I stoi tak obcy Żyd i znowu się dziwi:

– O, wa! Świątynia. *Jak piękne są Twoje namioty, Jakubie...*³ Rozbrzmiała w nim pieśń wszechobecnego Żyda, który nigdy, nawet z dala od domu, nie zapomina, kim jest.

Inowłodzer nie może oderwać wzroku od pięknego, wysokiego budynku, wzniesionego na górze. Bóżnica czy nie bóżnica – gapi się z głową zadartą ku niebu, pięknym błękitem okalającemu szczyt wysokiego dachu. Zaprawdę synagoga! Na samej górze widzi tablice z przykazaniami. Od frontu wbijają się w święte miejsce szerokie, wysokie, kamienne schody a przy nich ciężkie kute drzwi z kolorowymi szybami ułożonymi w gwiazdy Dawida⁴.

He, he!... Czegoś takiego, Mosze, jeszcze nie widziałeś! A przecież był już człowiek tu i tam, lecz takiej piękności dotąd nie spotkał. Opoczno też jest przecież miastem, też ma synagogę, ale takie чудо? Gdzie jeszcze taka śliczność jak tu! Może w Kielcach albo w Radomiu? Wszystko to gubernie, ale czegoś takiego nie mają. Czym są tamte synagogi w obliczu tej, w tym dużym, dziwnym mieście, gdzie wszystko jest tak bardzo nieżydowskie?

Nie może nasycić się widokiem Mosze, w miejscu stać również nie może. Musi podejść bliżej i porozmawiać z murarzami, którzy dłubią jeszcze przy frontowej ścianie.

– Bądźcie zdrowi – wyjąkał zwracając się do Żyda z pozbawioną wyrazu twarzą usmarowaną gliną – kto to postawił?

Murarz odwraca głowę w stronę gościa. Mimochodem chłapie mocno kielnią gliny na ścianę. Inowłodzer odskakuje na stronę, jak oparzony.

– Co znaczy kto? – odpowiada Żyd, który równa ścianę świętego miejsca. – Nam postawiono, nam! – a oczy nabiegają mu wyraźnym gniewem. Niemal krzyczy pokazując przy tym swoje utrudzone ręce.

– Chodzi mi o to – obstaje przy swoim zagubiony Mosze – skąd wzięto na to tak dużo pieniędzy.

– A co? Złodziej Poznański to już nie ma, by dać na coś takiego?

– Czyli złodziej Poznański dał taki złoty skarb – Moszemu te haniebne słowa ledwie przechodzą przez usta.

³ Pieśń, określana nieraz jako „modlitwa przy wejściu do synagogi”, pochodzący z Księgi Liczb 24,5: „Jakubie, jakież piękne są twoje namioty, mieszkania twoje, Izraelu!”.

⁴ Wielka Synagoga przy ul. Spacerowej (obecnie al. Tadeusza Kościuszki) budowana w latach 1881–1887, została ufundowana przez łódzkich fabrykantów, m.in.: Izraela Poznańskiego, Joachima Silbersteina i Karola Scheiblera. – Synagoga została podpalona w nocy z 10 na 11 listopada 1939 r. i całkowicie rozebrana w 1940 r.

– Z prowincji, co? – zainteresował się murarz.

– Tak, z dalekiej... – Żyd poczuł się winny.

– Widzę, że się dziwicie, gdy mówię, że Poznański, złodziej, dał pieniądze na budowę synagogi. A jakże, dał! Bo i kto miał dać? Jest bogaczem, milionerem, ten Poznański. A i swinią, i parchem też. Bił ludzi, ojców dzieci, bo prosili o pracę u niego w fabryce. „Co, chcecie profanować szabat, zbóje!” – krzyczał na całe gardło. – „Chcecie mnie obarczyć taką winą? Po moim trupie!”... Każdemu z robotników uważnie patrzył w oczy, wywołując na ich twarzy wypieki, a ciosy rozdawał jak cukierki ten... Tak, tak. Taki właśnie jest ten bogacz Poznański. A i okradł nas. Miał dać wszystko na synagogę, dał tylko część.

– To i tak pięknie z jego strony – Inowłodzer próbuje oddać milionerowi Poznańskiemu należyty szacunek.

– Pewnie, że też pięknie – przedrzeźnia zapracowany murarz o zmęczonej twarzy – że taki prędzej da pieniądze, by postawić cały kościółek dla tamtych, pobudować dla nich mieszkania, a swoim żałuje. Biedaczyna się splekał tą daniną na rzecz świątyni, tfu!

– Wcale nie musi być idiotą, ten Poznański. – Inowłodzer wykorzystał czas na przemyślenie sprawy. – Pewnie wie, co robi.

– Wie? – syczy murarz i zaraz milknie. Chwilę później z małego, barczystego człowieka wyrывa się głębokie westchnienie.

– Człowiek jest u „nich” na wygnaniu. Musi robić dobrą minę do złej gry.

Przeciąga drewnianą kielnią po ścianie synagogi, która w oczach robi się coraz gładsza. Nowe czerwone cegły będą przykryte grubym, mocnym, glinianym pancerzem. Żyd pochłonięty jest pracą. Nie słyszy już prowincjusza. Łudzi się pewnie, że się ten odczepi i przestanie go dręczyć swoimi pytaniami. Mosze jednak wciąż przygląda się murom synagogi i nie może wrócić do siebie. Dręczy go jeszcze tyle wątpliwości. Rozum podpowiada mu, że wszystkie wiążą się z tym wielkim miejscem.

– Pomyślności, bracie – próbuje ponownie zaspokoić swoją ciekawość. – Skąd się bierze u jednego takie majątek?

– Co znaczy skąd? – odpowiada tamten już nieco poirytowany. – Z handlu! Już wiesz skąd? Był sobie człowiek, który chodził po wsiach z workiem na plecach. Obdarty jak ja, pan i wszyscy nędzarze. Los mu sprzyjał. Poszczęściło się...

Co znaczy poszczęściło, jak się poszczęściło? – W Moszem coraz bardziej płonąła ciekawość. Czy ten Poznański dostał nieoczekiwany spadek? Czy znalazł skarb? A może poznał naiwnego właściciela folwarku? Umierał z ciekawości, by się dowiedzieć, jak się z tego Poznańskiego zrobił taki bogacz. Ale pytać już nie mógł. Zaczął bać się Żyda chlapiącego gliną na ścianę synagogi. Widział, że ów może się rozsierdzić. A nietrudno narobić sobie na obczyźnie wrogów. Da już mu spokój. Są przecież, odpukać, inni Żydzi. A nie wszyscy są tacy. Dzień, wielkomiejski, obcy, dopiero teraz objawił się Moszemu w pełnej krasie.